

Po wieczorze wypełnionym baraniami szaszłykami, baraniami żeberkami, kirgiskimi pierożkami, które zwa się tu mantami, napchanymi pysznym, baranin - a jakże - farszem z nieprawdopodobną ilością cebuli i nieznanymi mi, aromatycznymi i cokolwiek podejrzanymi ziół, przyszedł czas na noc : pełną dźwięków, dziwnych szeptów, zawołania muezinów na świecących wieżach minaretów i potężną bańką "sprytnej wody", od której za wszelką cenę usiłowałem się wykręcić i od której wykręcić się nie było mi niestety dane. Minarety i meczety, które rosną tu jak grzyby po deszczu finansują ponoć jednoznacznie ukierunkowani na światowy dżihad wahabbici z Zatoki Perskiej, sprytna woda zaś jest jak najbardziej tutaj. Jej produkcję nadzoruje tylko i wyłącznie popyt, żadne inne regulacje, czy to polityczne, czy też religijne, nie są w stanie jej zatrzymać ani nawet ograniczyć. Sprytna woda to po prostu bimber, tym straszniejszy, że zupełnie pozbawiony woni. I nie chodzi tu bynajmniej o zrobienie w konia monopolistycznych władz, od lat nie próbujących ingerować w jej produkcję. Dobry, praworządny muzułmanin nawet się nie zbliżył do jakiegokolwiek alkoholu, ale woda? Cóż jest złego w wodzie? Karim mruży oczy, nie wiem czy złośliwie, czy po prostu ma dziś ze mnie zdrowy ubaw. A ja wacham podejrzliwie wielką szklankę, którą postawiono mi przed nosem i domyślałem się, że nie jest łatwo. "To naprawdę sprytna, sprytna woda" – mówi Karim a Nurgazy, jego kumpel i producent tego specyfiku śmieje się donośnie. "Zdrowie" - krzyczy nagle po rosyjsku i wiadomo już, dlaczego tak nie chcieli piwa, które zaoferowałem, ja naiwny, kupić i dostarczyć na spotkanie.

- Pij, towarzyszu. - mówi Karim więc wychyłam szklankę sprytnej wody. Oczy mi wychodzą na wierzch, język zaś ucieka wprost do tyłka. Minie parę dobrych chwil nim uda mi się złapać oddech. Tak mnie ugościli.

- Karim. - mówię. - Jak możecie pić to świństwo? Karim, mój kirgiski druh z domieszką uzbeckiego sprytu śmieje się jedynie i nalewa mi kolejną porcję. Zastanawiam się jak długo jeszcze będę stał na nogach. W takim tempie chyba prędko spotkam się z podłogą.

Pytam zatem o zasady. Karim poważnieje.

- Nie nie, Allah tego nie widzi. - mruczy. Powątpiewam.

- Nie widzi. - powtarza, już pewniej, Karim. Wtórzy mu Nurgazy. Dziś jest środa. A w zasadzie nawet jeszcze nie ma środy, bo dopiero co był wtorek a my nie spaliśmy. Więc jest wtorek, tak po prawdzie, a do piątku kupa czasu. Allah ma na głowie cały wielki świat, do tego pełno psów niewiernych (tak jak ja) do ogarnięcia, nie ma zatem możliwości, że przez cały tydzień będzie się zajmował Karimami, Nurgazymi i ich sprytną wodą. Mówiąc krótko - to, co z oczu, to i z serca. Im zaś bliżej piątku, tym uważać

trzeba bardziej, dziś jest jednak wtorek, więc na razie z tamtej strony nie ma zagrożenia. Tako rzecz Karim i nalewa nam kolejną porcję „smakołyku”. Noc zapada nad Dżalalabadem, nad szczytami wokół miasta, ja zaś z wielką satysfakcją oszukuję Najwyższego wraz z moimi islamskimi współnikami. Kiedy wjeżdża parująca micha, słyszę tylko nurgazowy szept: "Ciekawe, czy to przejdzie przez to twoje chrześcijańskie gardło". I - po prawdzie - cieszę się, że natrafiłem na tych dwóch łobuzów, którzy jeszcze wczesną środą mają gdzieś kateryczne wrzaski cudzoziemskich piewców moralności. Z michy bowiem kłania mi się naryn z szaulaj - i niech diabli wezmą tego, kto wymyślił, że to można jeść. Naryn bowiem to po prostu gulasz z cynaderek, baraniego mózgu i wszelkiego wewnętrznego świństwa, jakie tylko można sobie wyobrazić. W środku, jako cymes, pływa sobie oko. Gotowane, wytrzeszczone i białutkie oko. Oko jest baranie. Obaj abnegaci szczerze reklamują owe oko jako gwóźdź programu. Idą w ruch widelce. Jemy tradycyjnie z jednej, wielkiej michy więc uników nie ma: grzechem i obrazą byłoby odmówić, zwłaszcza że obydwaj raz za razem podsuwają mi to świństwo - najsmaczniejszy w ich mniemaniu kąsek.

Z brei, której podejrzana woń przywodzi na myśl siki wygrzebuję oko. Po głębokim wdechu żuję ten nieszczęsny cymes i udaje mi się nawet schrupać go większych perturbacji. Gdyby nie to, że jem oko, smakowałoby jak jajko, chręści tylko bardziej między siekaczami. Ale jednak to nie jajko ... Gdy wypuszczam wreszcie oddech, tuż przed nosem widzę wielką szklankę sprytnej wody. Teraz nie wybrzydzać, po tym oku mogę, tak jak Ruski, do dna. I szklanicą o podłogę. Ura!

- Mołodiec! – oznajmia dumnie Karim. Potwierdzenie zwrotne nie nadeszło więc przeszedłem testy śpiewająco. A Nurgazy niezadowolony: kawał się nie udał, nie zemdlałem, nie puściłem pawia. Patrzę hardo, choć ta sprytka woda nieco mąci mi spojrzenie - mam nadzieję jednak, że się nie zorientowali, w końcu piją równo ze mną. Nurgazego wzywa żona – musi pilnie gdzieś pilnie zadzwonić.

- Mołodiec. - powtarza Karim kiedy zostajemy sami. - Nienawidzę tego świństwa. - mruczy - barbarzyństwo i ciemnota. Jutro wybierzemy się na cmentarz. Potakuję chociaż nie do końca już kojarzę o co chodzi.

Nurgazemu za to foch bez śladu minął. Wraca jak tornado z zeberkami i lepioską i kolejną flaszką sprytnej wody. Góry szumią nad Dżalalabadem ciepłym wiatrem. W naszych górach to kłopoty – gdy się rodzi halny lepiej nie wychodzić z domu. Tutaj jest inaczej, ciepły wiatr zwiastuje powodzenie. Allah jest zajęty więc możemy pić do rana. Gdy będziemy kończyć, blade światło oświetli nasze drogi. W dalszym ciągu nie spaliśmy więc jest wtorek, a nie środa. Zdążyliśmy. Chwała Najwyższemu.

- Wyśpij się, zabiorę cię na cmentarz. - mruczy Karim. – Jutro, po dwunastej. Może i po trzeciej, może też i później. Tam Polaki, twoje, te co szukasz. - Mruży nagle oczy i strzepuje z nich opary sprytnej wody. - O dwunastej. Bądź gotowy, przyjdę.

- O dwunastej. - odpowiadam. Ponad zasiekami i tą sztuczną, rysowaną przez Stalina od linijki kreską, która dzieli dwa plemiona, wstaje nowy dzień.

Na cmentarz wchodzimy po cichu, ukradkiem, jeden za drugim po rozchwianych schodkach - zupełnie jakby było coś złego w odwiedzaniu cmentarzy. Cóż to zresztą za cmentarz – ledwo mizerny wzgórek, usypany naprędce z okolicznej ziemi, ogrodzony w najlepszym, poradzieckim stylu i przyozdobiony topornym, betonowym monumentem z dziwnie wykręconym orłem. Patrząc z dala nigdy byś nie powiedział, że ten marny splechetek ziemi, wystający nieco ponad okoliczne chałupy, przypominające zresztą najpodlejsze slumsy a nie miejsca do zwykłego życia (godny nie chce przejść przez gardło), to ostatni ziemski przystanek blisko setki tych, którzy szli ale nie doszli. Zresztą cały ten cmentarz to lipa : nie ma tu żadnych grobów ani szczątków, są tablice i pomniczki. Groby były wokół, wszędzie ale teraz stoją tam stodoły i chałupy, środkiem zaś majestatycznie płynie ściek. A pod spodem, pod zmarzniętą ziemią zarzewiały medaliki i ryngrafy, rogatywki i guziki ... chociaż raczej chyba jednak grube, niewygodne lecz wyglądne battle dressy z szamerunkiem - to opakowanie dla szkieletów, tyrających przy wyrębie lasu albo gdzieś w kopalni jeszcze chwilę czy dwie temu. Dla tej taniej a w zasadzie bezkosztowej siły mięśni, dostarczonej w czeluść Związku z dawnych polskich Kresów w czterech wielkich deportacjach lat czterdziestych. Tych szkieletów, co dotarły - nie wiadomo gdzie znajdując siły - aż pod ostre nawet w zimie słońce Turkiestanu. Wita nas więc feeria barw, refleksów i półcieni, nieprawdopodobne, pozbawione nawet śladu chmury i wiszące tuż nad ziemią szafirowe niebo i potężna ekspozycja kołder, koców, zasłon i obrusów, schnąca błyskawicznie na marcowym słońcu : mimo, że tu wszędzie leży jeszcze gruba warstwa śniegu, nawet w cieniu jest gorąco tak jak w Polsce w maju. Skrzypi brama, którą Karim pokonuje za pomocą scyzoryka (oraz paru zakazanych przekleństw), powiewają razem z wiatrem kolorowe kołdry i obicia krzesel, może i pieluchy nawet. Z dala słychać wypełnioną aż po brzegi krowę, która desperacko woła o ratunek i krzyk brudnych dzieci. Karim, dumny ze złodziejskiej sztuczki, bierze rolę gospodarza : Witaj, przyjacielu, masz już to, czego szukałeś. Pokazałem ci to ja, twój cicerone i opiekun w jednym, Karim z którym piłeś wodę, twój kirgiski brat (aczkolwiek z uzbeckimi korzeniami), druh, przyjaciel, łajdak... Nie chce słyszeć, że już wcześniej odwiedziłem cmentarz, zaś jedyną zmianą są te kołdry, te przeklęte kołdry, które nie dość, że furkoczą na popołudniowym wietrze to wydają dodatkowo dziwny, nie do końca miły zapach. Bez wątplenia wcale nikt ich nie prał – nawilżone tylko jakimś specyfikiem, wietrzą się po zimie.

Dżalalabad w Kirgistanie... Tuż za rogiem jest granica i pradawne, święte miasto Osz, dalej Uzbekistan i Fergana, jeszcze dalej zaś na północ – wolność. Za plecami góry, które mają w nazwie spokój. Ten niebiański. To Tien-Szan, gdzie ziemia obmacuje niebo bez większego skrępowania. Tędy również kiedyś przeszła Polska, zatrzymując się na chwilę. Dla niektórych była to ostatnia chwila i zostali. Tu, w Dżalalabadzie, mieście wcale nie tak podłym, gdzie na głównym placu w dalszym ciągu straszy srebrny

Lenin, każdej wiosny pracowicie oczyszczany z tego, co gołąbki mu podarowały zimą. W mieście, w którym nie istnieje żaden przemysł ale jest lotnisko zaś niedobór wrażeń estetycznych rekompensowany jest przez wszechobecne góry. Bo to brzydkie miasto lecz z fototapetą w tle.

- Paszoł won. – oznajmia Karim. Prysły moje rozważania i oglądam się zdziwiony, jednak to nie do mnie. W furtce stoi mały, śniady i potwornie brudny chłopiec – jedną rączkę ma w kieszeni, w drugiej trzyma coś co zdaje się być dużą, nieforemną kostką cukru; liże to zapamiętałe i z tak wielkim smakiem, że domyślam się lokalnej i pierwotnej formy chupa-chupsa. Patrzy przy tym na nas bystro i ciekawie – cały ten obecny tutaj wszędzie turkus nieba, kolorowe kołdry i posępna szarość betonowych grobów schodzą w jedno w jego ciemnych oczach. Zanim jednak zdołam coś powiedzieć znowu się odzywa Karim.

- Paszoł won. – powtarza. Nie ma w tym pogardy, nie ma poniżenia, jest zaś ostateczność, z którą się nie dyskutuje; bez wątpienia się nie dyskutuje, kiedy jest się małym, brudnym, śniadym chłopcem który stoi u stóp monumentu z niezrozumiałymi symbolami, słowa te zaś wypowiada człowiek, który ma na głowie tiubetejkę a spojrzenie ostre i stanowcze. Chłopiec nagle znika. Zostajemy zatem tylko my : bezrozumnie nisko zawieszone, turkusowe niebo, majaczące w dali, białe pasma gór, mój druh z Dżalalabadu i włóczęga, który przebył tyle kilometrów by pogapić się na groby. Nie rozumie tego Karim, dając głośno wyraz swoim wątpliwościom, nie rozumie też Tien- Szan, ten jednak tylko milczy. Może zresztą to już nie Tien-Szan a niebosiężny Pamir? Zostaliśmy w każdym razie tylko my, te góry oraz prawie setka tych, co tutaj zakończyli bieg: tych tułaczy od Andersa i kobiety (bezimiennej) i jednego, też nie nazwanego dziecka. Chociaż ich tu przecież wcale nie ma bo są tam, skąd przyszedł chłopiec i gdzie ryczy krowa; tam gdzie stoją domy, które tak naprawdę są slumsami. Tam, gdzie ziemię zaorano, oczyszczono i zmieniono w plac budowy.

- Czemu pogoniłeś chłopca, Karim ?

- Kurdowie. – mówi krótko. Spluwa przy tym znacząco pod nogi i przecina mnie spojrzeniem. Słowo daje, on nie PATRZY. Oni wszyscy nie PATRZĄ, przecinają tylko spojrzeniami, jakby w tych spojrzeniach mogła się zmieścić cała mądrość świata, wszystkich nacji i religii naraz, złość i radość, kpina i zwątpienie. Karim zatem mnie przecina ostrym, skośnym ale także nieco drwiącym wzrokiem. – Nie rozumiesz ?

Nie rozumiem.

Albo nie. Rozumiem.

Kurdowie, ci cholerni Kurdowie. Wiatr zmian ich tutaj przywiał.

Pierwsi przyszli pod koniec sześćdziesiątych, może i w połowie siedemdziesiątych, niosąc ze sobą niejasną zapowiedź zmian, których wszyscy się bali i których nikt tak naprawdę nie chciał, a o których wszyscy wiedzieli, że kiedyś nadejść muszą. Osiedlili się w północno-wschodniej części miasta, graniczącej z tym cmentarzem - na początku jak Cyganie, w wozach i namiotach, później zaś w lepiankach i ziemiankach – coraz większych i większych – w końcu zaś zajmując domy, po kolei opuszczane przez uciekających do matuszki Rosjan – ich exodus trwał już od początku lat osiemdziesiątych, osiągając apogeum po upadku Związku Radzieckiego. Gdy imperium zawało się do reszty, wyjechali niemal wszyscy. Z ponad 65 procent Rosjan mieszkających w Kirgistanie w końcu lat osiemdziesiątych, dziś zostało już niecałe dwa procenty. Może zresztą nawet mniej. Pozostali więc Uzbegy i Kirgizi i natychmiast wzięli się za łby – ale o tym powiem kiedy indziej – oraz wszelkiej proweniencji drobiazg poradziecki. No i Kurdowie, ci cholerni Kurdowie.

- Bładź. – mruczy Karim, zamykając za sobą furtkę polskiego cmentarza w Dżalalabadzie pod fototapetą z ośnieżonych szczytów. Zresztą nawet nie cmentarza. W końcu to tylko pagórek, wzniesiony przez polityków i przez polityków poświęcony oraz otoczony płotem – ot, symbol przyjaźni polsko-kirgiskiej, o której mało kto tutaj słyszał. Mało kto tutaj słyszał w ogóle o Polsce, wiedzą o niej ci – już nieliczni - którzy pamiętają wychudzoną armię z lat czterdziestych lub po wojnie zahaczyli karabinem albo lufą czołgu o Legnicę. Ależ tam były dziewczyny... Żadna jednak nas nie chciała bo byliśmy albo „ruscy” albo skośni, dzicy z Azji. Wódka była niezła i ogórki. Tyle więc o Polsce we wspomnieniach. Dla tych, którzy ich nie mają Polska to abstrakcja – tłumaczyłem nawet parę razy, że nie leży na Zachodniej Ukrainie.

Więc prawdziwy cmentarz jest tam dalej – tam, gdzie ryczą krowy, bawią się usmarowane dzieci, w błocie brodzą zaś staruszki w szmatach, usiłując dotrzeć do wychodka albo najbliższego sklepu. Może tylko do najbliższej studni? Tam więc leży ich dziewięćdziesięciu pięciu plus kobieta (bezimienna) oraz dziecko. Tutaj stoi tylko płot i pomnik. Tam są wasi. I Kurdowie, ci cholerni Kurdowie.

- Oni zaorali wasz cmentarz, nie my. I nie żadna władza. Przyszli, zaorali. Teraz stoją tam chałupy.

- Tak na kościach?

- Tak na kościach.

Milczę. Słońce mi wypala oczy.

- Chodź, kupię ci piwo. – mówi Karim. Nie sprzeciwiam się. Piątek coraz bliżej.

(...)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

rockhard, dodano 05.03.2019 04:19

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.